

# ĆWIEK

JAKUB



# SZWINDEL

— KRYMINAŁ —

MARGINESY



**ĆWIEK**  
JAKUB

**SZWINDEL**

MARGINESY

Kłamać, mówić pięknie o rzeczach niebyłych, to prawdziwy cel sztuki.

Oscar Wilde (przełożył Bartosz Czartoryski)

Niezbyt to miłe znaleźć się tam, gdzie całymi dniami kantuje się ludzi, prawda?

Nevil Shute (przełożył Bartosz Czartoryski)

## PROLOG

Ferdynand Górski zmarł o godzinie czwartej trzynastie nad ranem; umierając, cierpiał.

Tego zdania nie było oczywiście w raporcie, jednak Kinga Wilk, pielęgniarka od dwunastu lat pracująca na Oddziale Opiekuńczo-Lecznicznym Domu Spokojnej Starości Trzy Dęby w Piasecznie, wiedziała aż za dobrze, jak wygląda koniec w ostatnim stadium przewlekłej obturacyjnej choroby płuc. Zapytana o to kiedyś przez jedną ze stażystek, przyrównała agonię przy POChP do tonięcia. Sama co prawda nigdy się nie topiła, ale tak właśnie widziała to oczyma wyobraźni – pełną desperackiej szamotaniny walkę o każdy, coraz płytszy oddech. Czas, kiedy umysł stopniowo się poddaje, już świadom, że to beznadziejne, choć ciało wciąż toczy bój, wyzbywając się resztek sił, aż przychodzi ostatnia konwulsja, ostatni wydech. A potem jest już tylko ciemność.

Teraz, wpatrzona w kartki zapisane drobnym, starannym pismem Małgorzaty Krysiak, koleżanki, która właśnie zesłała z dwunastogodzinnego, wyczerpującego dyżuru i która przekazała jej smutną wieść, Wilk nie przestawała się dręczyć. Czy pomogłoby mu, gdyby tu była? Czy czułby się pewniej? Czy w ogóle by ją widział?

Na podstawie nagromadzonego latami doświadczenia mogła ze stuprocentową niemal pewnością stwierdzić, że nie

zrobiłoby mu to już żadnej różnicy. Ale głowa swoje, a serce swoje. Po raz pierwszy na tym oddziale odszedł ktoś, kogo szczerze mogła nazwać przyjacielem. A jej tu wtedy nie było...

Zgodnie z tym, co Krysiak odnotowała w raporcie, wejście pacjenta w stan agonalny nastąpiło około drugiej. Pielęgniarka robiła wówczas obchód, zaalarmował ją przestraszony pacjent Staniszczyk, leżący z Górskim na sali. Wypadł na korytarz z okrzykiem: „Siostró, on się chyba dusi!”.

Zapoznawszy się z sytuacją, Małgorzata Krysiak wezwała drugą pielęgniarkę, Zofię Malicką, oraz skontaktowała się z lekarzem. Ten telefonicznie zlecił podanie hydrokortyzonu, teofiliny i terapię tlenową. Poprosił ponadto, by go informować, a Krysiak zapewniła, że tak zrobi. Kolejny raz zadzwoniła już z prośbą o przyjazd i stwierdzenie zgonu.

To wszystko znajdowało się w leżącym przed Kingą raporcie. Według niego działania personelu przebiegły zgodnie z procedurami i standardowym postępowaniem w takich przypadkach. Jednak to, co interesowało teraz Wilk, a czego raport oczywiście nie uwzględniał, to drobiazgi. Czy ktoś chwycił Górskiego za rękę? Czy ścierając mu pot z czoła, powiedział, żeby się nie bał? Czy gdy konający otworzył oczy, zobaczył pocieszający uśmiech? Czasem tak się zdarzało, a czasem nie. Rzeczy, kwestie, których nie dało się przewidzieć, których nie można było tak po prostu wymagać, oczekiwać, wpisać w listę obowiązków.

W jakimś stopniu Kinga Wilk cieszyła się, że nie miała wtedy dyżuru, bo nie wiedziała, jak by to przyjęła. Z jednej strony takie miejsca jak to odbierały kosztusze element zaskoczenia, a pacjentom współczucie ze strony personelu. Bo przecież właściwie każda z pomarszczonych twarzy pacjentów wyrażała to samo przeświadczenie, że wszyscy oni są tutaj na ostatniej prostej. A ci z mocno zaawansowaną przewlekłą obturacyjną

chorobą płuc, jak Górski, gdyby tylko wyciągnęli rękę, mogliby już nawet musnąć wstęgę na mecie.

Z drugiej strony Kinga Wilk nigdy wcześniej nie żegnała przyjaciela. Właściwie to nie miała ich w życiu zbyt wielu.

Przyjaźń z Ferdynandem zaskoczyła ją. Jakikolwiek pozazawodowe relacje personelu z pacjentami zdarzały się nad wyraz rzadko, a i sam Górski niczym specjalnym się nie wyróżniał. Był niekłopotliwym starszym panem, którego jedyne przewinienia wobec regulaminu sprowadzały się do tego, że kiedy jeszcze starczało mu sił, by wychodzić na zewnątrz, czasem popalał za krzakiem skradzione papierosy. Dużo czytał, a do snu niekiedy włączał sobie książki w formacie audio. Często też pisał, ale nie chciał powiedzieć, co takiego, i prosił ją, by nigdy nie sprawdzała tego na własną rękę. Mimo ciekawości uszanowała jego wolę.

Zgodnie z zapisem w dokumentacji miał siedemdziesiąt trzy lata i zanim przeniesiono go na ten oddział, ponad rok zajmował wygodny pokój w drugim skrzydle budynku, tam gdzie znajdowały się pomieszczenia domu spokojnej starości. Podobno bawił wnuki innych pensjonariuszy, pokazując proste sztuczki z kartami i monetami, i znał mnóstwo sprośnych dowcipów, ale już na oddziale nie afiszował się ani jednym, ani drugim. Kindze też ich nie opowiadał, bo czułaby się wtedy niezręcznie, a on bardzo dbał o jej samopoczucie. Troskliwy i czuły, przypominał kochanego ojca, którego kilka lat wcześniej straciła, i dopiero dzięki Ferdynandowi i ich rozmowom powoli zaczęła godzić się ze stratą.

A teraz Górski nie żył.

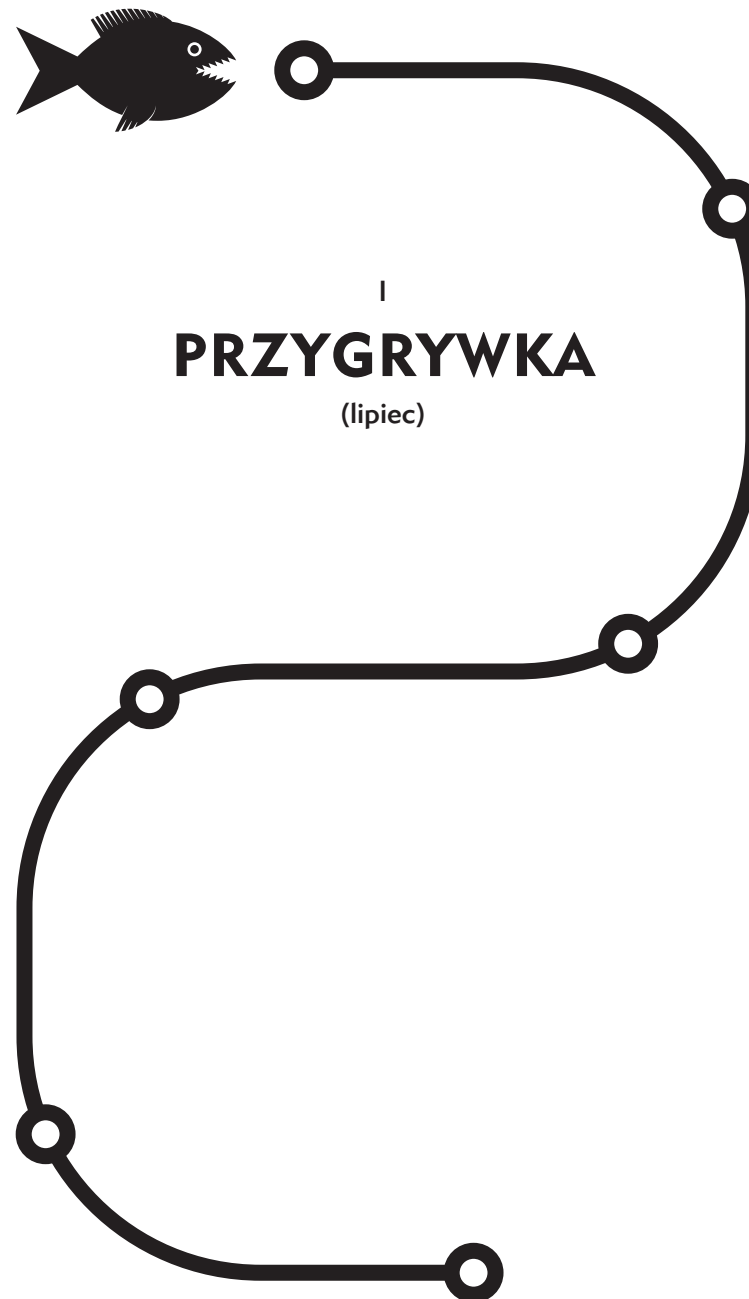
Ciekawe, zastanawiała się Wilk, czy dyżurujące dziewczyny nie złościły się przez to na niego. Czwarta trzynaście to niefortunna godzina na umieranie, bo sprawia personelowi kłopot. O godzinie piątej zgodnie z rozkładem dnia powinny

się rozpocząć poranne toalety, następnie przygotowanie raportów do przekazania porannej zmianie, tak by wyrobić się ze wszystkim na siódmą. Zgon oznaczał natomiast czekanie na lekarza, jego przyjazd i oficjalne oświadczenie, powiadomienie rodziny, oporządzenie ciała, usunięcie cewników, wenflonów, przewiezienie do Post Mortem, by odczekać regulaminowe dwie godziny przed powtórzeniem sprawdzania czynności życiowych. Wszystko to generowało stres i opóźnienia. Dobrze, że chociaż oddział nie był mocno obłożony.

Kinga wstała i przeciągnęła się, mało nie przewracając kubka i nie zalewając raportu herbatą. Wsunęła go do teczki zawierającej resztę dokumentacji i odłożyła na miejsce.

Zerknęła na zegarek na ścianie i uświadomiła sobie, że najwyższa pora wziąć się do roboty. Honorata, koleżanka ze zmiany, zachowała się co prawda bardzo w porządku, dając Kindze czas na oswojenie się ze stratą, ale przecież nie mogła tego nadużywać. Pracy na oddziale, nawet przy wsparciu salowych, było aż nadto, zwłaszcza rano.

Na żałobę przyjdzie czas później, uznała. Po skończonej zmianie, po powrocie do pustego domu. A najlepiej po dotrzymaniu ostatniej obietnicy danej zmarłemu.



Olgierd Pychel nie potrzebował kawy, ale nie uśmiechało mu się to bezsensowne spacerowanie ulicami warszawskiego Mokotowa. Oddawał się temu już blisko pół godziny, a spotkanie miał dopiero o trzynastej. Nie pozostawał mu już żaden wariant do przegadania sobie pod nosem, czemu chodzenie sprzyjało, a przebywanie na świeżym powietrzu przypominało tylko o rzuconym pół roku wcześniej paleniu.

Wtedy naprawdę dużo chodził, często rezygnując z przejazdu autobusem czy tramwajem, byleby zyskać czas na spokojnego i godnego dymka. Palenie na chybcika pod wiatą, tuż obok przepełnionej popielniczki, uważał po prostu za uwłaczające. Przypominało szybkie kończenie posiłku nad śmietnikiem, by potem nie nosić zatłuszczonej serwetki czy papierka.

Ostatecznie zdecydował się na najbliższą kawiarnię. Czarno-Widzę była jednym z tych nowo powstałych przybytków, który do podkreślenia swej oryginalności wykorzystywał wszystkie już sprawdzone i zgrane przez innych sztuczki. I tak zamiast obrandowanych parasoli nad niewielkim ogródkiem rozciągnięto markizę z wzorem w porośniętą mchem dachówkę, płotek zbito z postarzanych desek, a w głębi, za stolikami, ustawiono drewnianą huśtawkę z zaimpregnowanych słupów telefonicznych, drewnianego konia na biegunach i zjeżdżalnię tak niską, że nawet czterolatek, siadając na szczycie, niemal

dotykał nogami ziemi. Wchodzących do ogródka witały stojak na plastikowe miski, metalowy dzbanek z wodą i informacja, że mile widziane są wszystkie czworonogi i ci spośród dwunogów, którzy wiedzą, jak się zachować.

Olgierdowi żaden zwierzak nigdy nie przeszkodził w posiłku, czego nie mógł powiedzieć o rozwrzeszczanych dzieciakach czy nawet kilku dorosłych, więc uznał to za bardzo celną i dowcipną uwagę, i to chyba właśnie ona sprawiła, że zdecydował się właśnie na ten lokal. Nie na ogródek jednak, bo trzy z czterech stolików były zajęte, a czwarty nieuprzątnięty po poprzednich gościach. Poza tym liczył, że w środku będzie nieco chłodniej i dzięki temu przestanie się tak bardzo pocić. Nie miał ochoty wracać przed spotkaniem do hotelu, by się przebrać.

Minął drzwi zachęcająco otwarte na oścież i zdobione w serduszka i kwietne ornamenty, przez co przywodziły na myśl te z chat baśniowych wiedźm, i wszedł do lokalu.

\*

Sasza schodziła akurat z antresoli ulokowanej nad barem, niosąc w lewej ręce tacę z dwiema wysokimi szklankami po mrożonej latte, prawą przytrzymując się poręczy. Była już na przedostatnim schodku, gdy wszedł – taki elegancki w garniturze dobrze dobranym, choć raczej nie szytym na miarę. W dłoni ścisnął czarną aktówkę i rozglądał się, przyzwyczajając oczy do półmroku.

Przystanąła, czując, że serce zaczyna jej bić zdecydowanie zbyt szybko. Ukradkiem zerknęła na siedzącego przy barze Marcina. Ten, choć zajęty bajerowaniem stojącej za barem Justyny, wychwycił jej spojrzenie, obejrzał się i delikatnie skinął Saszy głową, potwierdzając wszelkie wątpliwości. Tak, to on. To ten.

Ręka kelnerki zadrżała, szklanki na tacy zabrzęczały, mężczyzna stojący w progu posłał jej uśmiech. Zmusiła się, by odpowiedzieć tym samym, i z trudem pokonała ostatnie dwa schodki i dystans dzielący ją od kontuaru. Odstawiła tacę, spocione dłonie wytarła w fartuszek i przeprosiła Justynę, mówiąc, że musi do łazienki.

– Jasne – odparła tamta. – Ale zajmiesz się tym nowym.  
– Oczywiście.

Oczywiście, że się nim zajmę, pomyślała. W końcu czekała na niego tak długo. Tyle przygotowań, ćwiczeń, pracy. Wszystko miało zostać zweryfikowane właśnie teraz.

Na zapleczu stanęła przed umywalką, zmoczyła ręcznik i przyłożyła sobie do rozgrzanego karku. Z odbicia patrzyła na nią piegowata, naiwna nastolatka, ale w jej oczach tliła się determinacja. Zrobi to, da radę. Nie zawiedzie.

– Pamiętaj – powiedziała na głos. – To jest bardzo zły człowiek. Należy mu się.

\*

Olgierd rozważał chwilę miejsce na antresoli, ale uznał, że będzie tam za gorąco. Z kolei gdyby usiadł w pierwszym pomieszczeniu, czułby się jak intruz, jak akademicki współlokator, który nie zrozumiał, co oznacza wywieszony na kłamce krawat. Wszystko przez to, że w tej sali była jedynie dziewczyna za barem i facet zachowujący się jak jej chłopak. Zdecydował się więc na salę po prawej, skąd jak sugerowały strzałki i znaczniki, miał również niedaleko do toalety.

Zajął miejsce przy stoliku przy oknie. Położył aktówkę na kolanach, wyjął z niej dwie papierowe teczki i „Newsweeka”, przejrzał menu służące za podkładkę.



Wtedy pojawiła się przy nim kelnerka, młoda, rumiana dziewczyna z jasnobrązowymi włosami, spiętymi w koński ogon, niemal ładna. Miała na sobie białą bluzkę z krótkim rękawem i czarną spódnicę do kolan oraz fartuszek, w którego kieszonce trzymała wysłużony kołnotatnik, pozbawiony już większości wkładu, i ściereczkę.

Wyrastając przy Olgierdzie, pstryknęła długopisem i uśmiechnęła się pogodnie.

– Dzień dobry, czy mogę zaproponować coś do picia? – Mówiła ładnie, poprawnie, ale z wyraźnym wschodnim zaśpiwem, co sprawiło, że Olgierd odruchowo się skrzywił. Jego samego czasem brano za przybysza z Ukrainy i przez to długo nie traktowano w stolicy do końca poważnie. Nieważne, że pochodził z Piotrkowa Trybunalskiego, do ubiegłego roku mieszkał w Łodzi, a najdalej na wschód był bodaj raz w Lublinie. Choć ludzie z jego otoczenia na co dzień wykazywali się pożałowania godną ignorancją, akurat w zakresie wcale nie tak przecież oczywistej genezy jego nazwiska nadspodziewanie błyskali wiedzą.

Ale i tak mogło być gorzej, pomyślał. Mógł w życie startować teraz, gdy co drugi autostradowy McDonald rozbrzmiewał charakterystycznym przedniojęzykowym L, a w większości dużych polskich miast, nie tylko w Warszawie, Ukrainka stało się właściwie synonimem słowa sprzątaczką. Lub dziwka.

Zdał sobie sprawę, że milczy trochę za długo, więc pochylił się znów nad kartką z menu, jakby jeszcze nic nie wybrał.

– Poproszę kawę. Czarną. – Zawahał się. – I jakieś ciasto do tego.

– Mogę polecić nasze ciasto dnia. W środę zawsze mamy bezy. Dziś jest z kremem na bazie mascarpone i owocami leśnymi – wyrecytowała dziewczyna i rozejrzała się teatralnie, by zaraz dodać już ciszej: – Naprawdę świetne, ale szefowa

nie jest przekonana do nowej cukierni, więc namawiamy, by szybko się rozeszło.

Olgierd roześmiał się i skinął głową.

– Niech będzie. W takim razie czarna kawa i beza.

– Duża, mała ta kawa?

Pychel zerknął na zegarek.

– Niech będzie duża.

– Świetnie, to zaraz do pana wracam.

Obróciła się i zrobiła krok w stronę baru, gdy nagle zawróciła.

– Był pan już u nas wcześniej? – zapytała.

– Nie, to pierwszy raz.

Ta odpowiedź, sądząc po jej minie, wyraźnie ją usatysfakcjonowała. W oczach błysnęła autentyczna radość, szeroki uśmiech zaprezentował dwa rzędy śnieżnobiałych zębów, o które, zdaniem Olgierda, zwracającego szczególną uwagę na uzębienie, musiała wręcz obsesyjnie dbać.

– W takim razie jeżeli pan chce, kawa może być za darmo – powiedziała. – Mamy na stronie taką aplikację do zbierania punktów. Dzięki niej można się załapać na specjalne promocje. No i pierwsza kawa jest za darmo.

– Dziękuję, ale nie będę tu bywał zbyt często.

Dziewczyna znowu się rozejrzała.

– To pan później odinstaluje – odparła. – Dają nam tu bonusy za ściągnięcia aplikacji, a pan zyska darmową kawę.

Olgierd wyjął z kieszeni telefon. Właściwie czemu nie? Chciała być miła, czemu nie skorzystać. A dodatkowo, co dopiero zauważył, gdy tak się uśmiechała, na jej policzkach pojawiały się te urocze dołeczki.

– No cóż, w sumie ma pani rację. A, i bardzo doceniam szczerść – stwierdził. – Tylko nie boi się pani tak mówić o tym wprost? A gdybym był tajemniczym klientem?

Teraz to ona się roześmiała.

– Taki elegancki? Pan to chyba żadnego z nich nie widział.

Miała rację o tyle, że choć Olgierd raz z całą pewnością widział tajemniczego, a nawet z nim rozmawiał, nie rozpoznał go ani w trakcie rozmowy, ani nie potrafił przywołać jego twarzy po tym, gdy już dostał raport z oceną swojej pracy. To wydarzyło się jeszcze w Łodzi, w salonie Orange, oberwało mu się wtedy za pominięcie jednej z propozycji. Jakkolwiek wyglądał ten jego tajemniczy, z całą pewnością w żaden sposób nie wyróżniał się z tłumu.

– To jaki macie ten adres? – zapytał teraz, odblokowując telefon.

– Czarnowszystko... Albo wie pan co? Jak się pan połączy z naszym wi-fi, wyskoczy automatycznie. Sieć nazywa się CzarnoWidzeCoffee, a hasło to MałaCzarna.

Pychel połączył się z siecią, wybrał właściwą i wklepał hasło. Dziewczyna przyglądała mu się wnikliwie, jakby chciała zerknąć w jego ekran, ale ostatkiem sił się powstrzymywała.

– Na środku strony powinien być link do aplikacji. Taki duży przycisk z kubkiem kawy. Jak pan potem pobierze, to dostanie pan kod, ja go zapiszę i już...

– Dobrze, dziękuję – odparł, czekając, aż strona się załaduje.

\*

Nie mogła się powstrzymać przed patrzeniem na niego, dlatego zamiast od razu wyjść z pomieszczenia, by dać mu czas, zajęła się sprzątaniami pobliskich stolików. Zapanowała jakoś nad drżeniem nóg, jednak miała wrażenie, że sztuczny uśmiech przykleił się jej do twarzy. Rozmowa poszła chyba dość naturalnie – Jezus, na to przynajmniej liczyła – ale ilekroć

kończyła zdanie i milkła, wydawało jej się, że zaciskające się z nerwów szczęki już się nie otworzą. Że nie będzie w stanie powiedzieć mu nic więcej.

Albo jeszcze gorzej, że ulegnie jego uśmiechowi, niewinności i zagubieniu wypisanym na twarzy. Ostrzegali ją przed tym, mówiąc, że to właśnie jest najtrudniejsze. I zawsze jest taki moment, w którym mimo całego przygotowania chcesz jednak się wycofać albo pragniesz, by ktoś cię zastąpił. Co, rzecz jasna, nie wchodziło w grę, bo to musiała być ona. I to musiał być on. Zły człowiek siedzący pod oknem.

Pochyliła się nad stolikiem i omiotła go dobytą z kieszeni fartuszką ściereczką, jednocześnie patrząc, jak klient gapi się w ekran telefonu. Gdy strona się załadowała, zapewne zgodnie z instrukcją wcisnęła ikonę kubka i potwierdził chęć pobrania aplikacji. Upewnił się, że nie musi klikać niczego więcej, po czym odłożył aparat na bok i sięgnął po magazyn leżący na dwóch papierowych teczkach.

Sasza wstrzymała oddech, bo następne kilka sekund było kluczowe. Telefon zawibrował raz. Klient posłał mu jedno spojrzenie, jednak nie sięgnął po aparat. Pięć sekund, dziesięć, dwadzieścia... Telefon zawibrował po raz drugi. Tym razem mężczyzna spojrzął na ekran i mruknął coś pod nosem, ale to tyle.

Powoli wypuściła powietrze i wyrównała oddech, po czym wróciła do sali głównej. Marcin z komórką w dłoni pokazał dyskretnie kciuk z palcem wskazującym ułożone w kółko. Udało się. Pierwszy etap mieli za sobą.

\*

Dziewczyna – dopiero teraz nad kieszonką na lewej piersi zauważył maleńką, kremową przypinkę z napisem „Sasza” – zja-

wiła się ponownie po kilku minutach, niosąc na tacy filiżankę wielkości miski do zupy i rzeczywiście bardzo smakowicie wyglądającą bezę. Na stoliku obok telefonu postawiła najpierw kawę, potem ciastko.

– I co? Udało się? – zapytała.

– A wie pani, że nie wiem? Nie sprawdziłem. – Olgierd oderwał wzrok od artykułu o reprivatyzacji i sięgnął po aparat. Kciukiem wpisał kod, szybko przejrzał ikony aplikacji i zmarszczył czoło. – Hmm, chyba nie, bo nie widzę niczego nowego.

– Powinno być jak logo kawiarni, kubek kawy i...

Z uśmiechem stuknął palcem w leżące przed nim menu, na którym znajdował się logotyp.

– Pewnie się nie zainstalowało, może pamięć mam pełną albo trzeba było coś potwierdzić i się zagapiłem – stwierdził. – Nieważne... Ale dziękuję za chęci.

Uśmiechnął się i już wrócił wzrokiem do artykułu, gdy dostrzegł kątem oka, że wyraźnie skonsternowana kelnerka nie zamierza tak łatwo dać za wygraną.

– Może jeszcze raz? – zaproponowała, a on potrząsnął głową.

– Naprawdę nie trzeba, stać mnie na kawę – odparł i zaraz, zdając sobie sprawę, że mogło to zabrzmieć niegrzecznie, ponownie spojrzął na dziewczynę i uśmiechnął się szeroko. – Ale wie pani co? Jest pani tak miła, że choć zwykle tego nie robię, napiszę wam rekomendację na Facebooku. Ze szczególnym uwzględnieniem miłej obsługi.

Kelnerka zaczerwieniła się i zatrzepotała rękami.

– Naprawdę? To bardzo miłe z pana strony.

– Pani też jest bardzo miła. A karma zawsze wraca.

Na te słowa dziewczyna ściągnęła nagle brwi i usta. Znow się rozejrzała i wyjęła nieużywany dotąd kołonośnik. Zano-

towała coś szybko i pokazała mężczyźnie rząd cyferek zakończony znaczkiem hasztaga.

– Jakby co, to jest pana kod – powiedziała cicho, akurat w chwili, gdy do sali weszła kolejna klientka. Piękna blondynka w koszulce na ramiączkach i luźnych spodniach w barwne kwiaty. Pychel miał szczerą ochotę odprowadzić ją wzrokiem, jednak uznał, że w tych okolicznościach byłoby to zwyczajnie bezczelne.

– Skoro się pani upiera – zwrócił się do kelnerki z cichym westchnieniem. – Pozostaje mi podziękować. Dziękuję zatem.

Zamknął i odłożył na bok gazetę i sięgnął po widelczyk. Przez moment obawiał się, czy dziewczyna nie będzie nad nim stała, upewniając się, że mu smakuje, ale kelnerka skłoniła się tylko i pognęła do drugiej sali. W połowie drogi rozwiązał jej się fartuszek, więc wzięła go do ręki.

Blondynka w spodniach w kwiaty usiadła dokładnie za nim i czuł teraz delikatny zapach orzeźwiających perfum, choć nie mógł jej zobaczyć. Co oczywiście rozbudziło ciekawość. Rozwahał przez moment zmianę miejsca, jednak nie miał ku temu żadnego rozsądnego powodu, bo ani nie raziło go słońce, ani nie siedział w przeciągu. Gniazdko, gdyby akurat chciał z niego skorzystać, też znajdowało się akurat obok nogi. Byli na tej sali sami, nie licząc klientów przechodzących akurat do toalety czy stojących w zazwyczaj jednoosobowych kolejkach w wąskim korytarzu, więc gdyby po prostu się przesiadł, tak by na nią patrzeć, nie uszłoby to uwadze kobiety. No chyba że siedziałaby tyłem. Ale gdyby wstała...

Po krótkim namyśle uznał, że jedynie może się jej przyrzyć, gdy sam będzie szedł do łazienki. Czego zrobić chwilowo nie mógł, bo jakże to, zostawić na stole kawę i ciastko?! Zaśmiał się cicho pod nosem z tych rozważań i z tego, jak bez-

sensownie komplikuje sobie nimi życie. To tylko ładna laska, nic nadzwyczajnego!

A jednak przyjemny zapach wiercił go w nosie i nęcił, a głęboki głos dziewczyny, gdy ta odezwała się do telefonu, brzmiał zmysłowo. Podniecająco nawet mimo przekraczającego normy natężenia zdrobnień w wypowiedzianych słowach.

– Ewciu, kochanie, oddzwonię do ciebie za chwileczkę, bo mam teraz końcóweczkę baterii, a za chwilę ma dzwonić ten Marek z Unilevera, by powiedzieć, jak mi poszło... Nie, nie wiem dokładnie o której... Tak, możesz być pewna, że dam znać. Tak, kochana. Tak, buziaczki. Pa.

Rozłączyła się niemal w tym samym momencie, w którym telefon ostrzegł ją zapewne już kolejnym sygnałem o rozładowanej się baterii.

– Szlag! – mruknęła dziewczyna.

Olgierd odłożył widelczyk i po sekundzie wahania odwrócił się.

– Przepraszam – powiedział z głupim uśmiechem, czując, jak palą go czubki uszu. Nabrał nagle przeświadczenia, że robi z siebie kompletnego idiotę, ale było już za późno, by się wycofać.

Dziewczyna, jak się okazało, siedziała po drugiej stronie stołu, frontem do jego pleców, tak że teraz widział ją dokładnie od pasa w górę. I musiał przyznać, że jest prześliczna. Złociste włosy sięgały jej do przedramion, zawijając się do środka. Miała wyraźne kości policzkowe i pełne usta, a nad nimi małe, czarne pieprzyki. Do tego prosty, wąski nos, zielone oczy w ciemnej oprawie makijażu z delikatnym dodatkiem niebieskiego. Patrzyła na Olgierda z uprzejmym zaciekawieniem.

– Przypadkiem usłyszałem, o czym pani mówiła – dodał, zwalczając pokusę odchrząknięcia. – I jeśli ma pani telefon z wejściem na mikroUSB...

Pokręciła głową, unosząc iPhone'a.

– Dzięki, ale niestety – odparła. – Nie wiem, może zapytam, czy mają tu jakiś numer stacjonarny albo coś, to go podam esemesem.

– Może pani podać mój – palnął bez zastanowienia Olgierd. Zdziwiła się, więc szybko dodał: – To znaczy, wie pani, będę tu chwilę i... – Patrzył na nią, z każdą sekundą przedłużającej się ciszy coraz bardziej przygotowany na odmowę, jednak dziewczyna najpierw zmarszczyła brwi, a potem powoli, ostrożnie skinęła głową.

– Dobrze – zgodziła się. – O ile pozwoli mi pan zapłacić za pański rachunek.

– Wykluczone! To umniejszyłoby mojemu bohaterstwu.

Roześmiała się, a on wziął ze stolika telefon, wstał i podszedł do blondynki. Stając nad nią, ukradkiem zerknął na jej dłoń i nie dostrzegł ani pierścionka, ani obrączki. Niby w dzisiejszych czasach to nic nie znaczyło, ale i tak dobrze rokowało. Odblokował telefon, w kontaktach wybrał JA i pokazał jej na ekranie. – Olgierd. A oto mój numer.

Przepisała go szybko i wysłała esemesa.

– Marzena. – Wyciągnęła do niego dłoń. – Dosiądziesz się, bohaterze? Albo nie, wiesz co? Ty już zamówiłeś, mnie będzie łatwiej.

Zanim zdążył zareagować, wstała, obciągnęła bluzkę i zdjęła z oparcia niewielką torebkę.

– Naprawdę dziękuję za pomoc – powiedziała, gdy prowadził ją do swojego stolika.

Usiedli, on na swoim miejscu, ona naprzeciwko, tak że słońce i gałęzie drzewa za oknem ozdobiły ją cienistymi wzorami.

– Znajomy pomaga mi w ogarnięciu nowej pracy i... Zresztą sam słyszałeś. Boże, czuję się taka głupia!

Nie wiedział, co powiedzieć, więc tylko wzruszył ramionami.

– Telefony nie wytrzymują dziś nawet jednego dnia. Osobiście uważam, że to kpina – rzucił w końcu. – Pamiętam, że moja pierwsza komórka... – Przerwał, gdy w progu dostrzegł Saszę. Uśmiechnął się do niej i uniósł rękę. – Przepraszam, możemy prosić?

Kelnerka podeszła niemal natychmiast, ale coś w jej ruchach, w zachowaniu i spojrzeniu wyraźnie się zmieniło. Pojawiła się pewna nerwowość, uśmiech sprawiał wrażenie nieco wymuszonego. Czyżby jakiś nieprzyjemny klient na drugiej sali? Albo mniej lub bardziej zasadny opierdziel od szefostwa?

Zaraz jednak zorientował się, że wzrok dziewczyny, choć kelnerka usiłowała go skupić na nim, raz po raz ucieka ku Marzenie.

Jezu, dotarło do niego, jej chodzi o mnie! Ona ze mną wcześniej flirtowała! To stąd ta darmowa kawa i kod, stąd to nerwowe rozglądanie się. Wcześniej nawet o tym nie pomyślał, kelnerka wydawała się taka młoda, prawie jak licealistka na letniej praktyce, jednak teraz... Tak, to miałyby sens. Oczywiście nie wiedział, czy robiła to, bo faktycznie jej się spodobał, czy też może to jedna z tych Ukrainek, które szukają łatwej drogi do lepszego życia. Mówili mu o nich koledzy z dawnego biura, ci, co dzięki takim właśnie dziewczynom podbijali statystyki – ale fakt pozostawał faktem. Flirtowała z nim, a teraz, gdy zobaczyła Marzenę przy jego stoliku, poczuła rozczarowanie. Albo i gniew.

Poczuł się w obowiązku jakoś jej to wynagrodzić, więc wyszczerzył się głupio, szukając w głowie odpowiednich słów, jednak zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, kelnerka sama wyjaśniła przyczynę swojej nerwowości.

– Przepraszam państwa najmocniej – odezwała się wyraźnie zakłopotana. – Chodzi o to, że mamy teraz zmianę i mu-

simy dokonać rozliczenia kasy. Naprawdę bardzo przepraszam, ale...

– Musi nas pani szybciej rozliczyć? – dokończył za nią Pychel. – Oczywiście, nie ma żadnego problemu. Jeśli tylko moglibyśmy domówić... Czego się napijesz? – zwrócił się do Marzeny, a ta pokręciła głową.

– Przecież mówiłam, że ja płacę.

– A ja, że to wykluczone – odparł rozbawiony. – No, nie daj się prosić. Co dla ciebie?

\*

Sasza rzeczywiście poczuła ukłucie zazdrości, obserwując siedzącą przy kliencie kobietę. Jednak wbrew temu, co myślał sobie mężczyzna, w żaden sposób nie chodziło tu o niego, a o nią. Była niesamowita. Każdy jej gest, ruch, każde słowo, a nawet to, jak teraz podjęła ten na poły żartobliwy, przeciągający się pojedynek na spojrzenia – to była klasa sama w sobie.

Mimo iż przecież wiedziała, co się dzieje i kim jest kobieta przedstawiająca się jako Marzena, Sasza dałaby sobie głowę uciąć, że przed chwilą między tą dwójką przeskoczyła w powietrzu iskra. To, w jaki sposób kobieta powiodła palcami po kości obojczyka, lekkie zmrużenie oczu, uśmiech płaczący się w kąciку ust. Kryła się w tym subtelność zmysłowych koronek ekskluzywnej bielizny. Miała go na widelcu, jednocześnie nic jeszcze nie obiecując.

– Niech będzie – skapitulowała i spojrzała na Saszę, jakby widziały się po raz pierwszy. – Latte poproszę. Jeśli jest, to orzechowe.

Kelnerka wyjęła kołonoatnik.

– Jakie mleko?

– Prawdziwe – odparła Marzena. – Możliwie tłuste.

I znowu trafione; śmiech klienta był bardzo naturalny. Mężczyzna wyjął z wewnętrznej kieszeni płaski portfel, a z niego pomarańczową kartę z lwem.

– Też mnie zawsze bawi, gdy ktoś nazywa te sojowe czy migdałowe mlekiem – powiedział. – Mleko bierze się z dojenia. Widział kto dojone migdały?

Zaśmiały się niemal równocześnie, choć Marzena niewątpliwie lepiej sobie radziła z udawaniem wesołości. Ale to nie był problem, bo Sasza jako kelnerka mogła słyszeć ten żart z tysiąc razy.

– A, kartą, tak? W takim razie zaraz przyniosę terminal – dodała. – I kawę. I jeszcze raz przepraszam za kłopot.

– Żaden kłopot – zapewnił Olgierd i sięgnął dłonią po widelczyk. Rozkruszył nim kawałek bezy, wymieszał z kremem i wsunął do ust.

Sasza cofnęła się o krok, by ponad mężczyznę posłać Marzenie niepewne, pytające spojrzenie. Kobieta nie odpowiedziała w żaden sposób, koncentrując uwagę na kliencie.

\*

– Jesteś z Warszawy? – zapytała Marzena.

Pokręcił głową.

– Z Poznania. Przyjechałem w interesach.

– Zawsze lubiłam to określenie. W interesach. Brzmi jak z filmu z Bondem. – Odchrząknęła i spróbowała podjąć niskim, męskim głosem, odruchowo dociskając przy tym brodę do szyi. – Jaki jest powód pańskiej wizyty, panie Bond? Przyjechałem tu w interesach.

Parsknął, plując kawałkami bezy, co sprawiło, że i ona się roześmiała, odrzucając głowę do tyłu. Miała piękną długą szyję. A on robił z siebie idiotę.

– To chyba tyle z porównywania mnie do agenta jej królewskiej mości – stwierdził, ocierając usta i stół serwetką.

– Przeciwnie. Mogłeś to zrobić dla niepoznaki, prawda?

– W sumie... Ta praca to w jakiej branży?

– Właściwie to żadna branża. – Marzena odwróciła głowę w stronę okna. Tylko na moment, zaraz ponownie skupiła się na Olgierdzie, ale widział wyraźnie, że pytanie ją zawstydziło. – Jeden z dyrektorów szuka asystentki... a właściwie to sekretarki, i...

– Moja mama jest sekretarką – skłamał. – Mnóstwo odpowiedzialności, cholernie niedoceniana robota.

Dostrzegł w jej spojrzeniu wdzięczność, od której zrobiło mu się ciepło i która sprawiła, że po raz pierwszy naprawdę pomyślał o tym, że mógłby umówić się z tą dziewczyną. Wcześniej, nawet przy tym niezobowiązującym flircie, wydawała się zupełnie spoza jego ligi. Jednak teraz...

Możesz myśleć, że to nieśmiertelne boginie, stary, ale wszystkie one regularnie krwawią – mawiał jeszcze na studiach jego kumpel z akademika, Błazej. – A wiesz, co mówią. Skoro coś krwawi, to jest do pokonania. Musisz tylko znaleźć słabość.

Olgierd podejrzewał, że właśnie mimochodem znalazł tę słabość i z jednej strony poczuł się głupio. Z drugiej jednak narastający wzdół i szum w uszach dawały wyraźny sygnał, że tylko pieprząc skrupuły, ma szansę na...

– To będzie razem dwadzieścia dziewięć złotych – usłyszał nagle.

Mało nie podskoczył. Odwrócił się i zobaczył nad sobą Saszę z terminalem. Potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć wszystkich myśli sprzed chwili, i poprawił się na krześle, zakładając nogę na nogę, by ukryć erekcję.

– Może tam pani dopisać napiwek? – zapytał.

Dziewczyna pokiwała przecząco głową.

– Niestety nie, ale bardzo dziękuję za chęci. Zbliżeniowo?

– Tak. – Przyłożył kartę do terminalu i sięgnął do portfela w poszukiwaniu drobnych.

– Transakcja odrzucona – powiedziała dziewczyna, używając do tego tonu, jakiego uczy się chyba każdy ekspedient na świecie. Coś pomiędzy „bardzo mi przykro z powodu pana straty” a „proszę się nie martwić, żyjemy w nerwowych czasach, każdemu mężczyźnie się to zdarza”.

Tyle że on zdecydowanie nie powinien usłyszeć teraz tych słów. Zamarł z kartą w dłoni, wzrok odruchowo odnalazł Marzenę.

– To niemożliwe – stwierdził, nie wiedząc, czy zapewnia siedzącą naprzeciw kobietę, kelnerkę czy samego siebie. – Możemy jeszcze raz?

– Oczywiście – zapewniła Sasza. – To czasem się zdarza. Może tym razem na PIN?

– Albo naprawdę ja zapłacę – zasugerowała Marzena, on jednak tylko pokręcił nerwowo głową. Podał kelnerce kartę.

– Nie, nie. Spróbujemy na PIN.

Sasza wsunęła kartę do terminalu, wpisała kwotę, po czym podsunęła mu go pod nos i spojrzała w bok.

– PIN i zielony – powiedziała.

Olgierd wpisał nerwowo cztery cyfry, zatwierdził zielonym i czekał, wpatrzony w ekranik. Przetwarzanie, przetwarzanie. Transakcja odrzucona.

– Kurwa! – wyrwało mu się. Złapał za telefon.

– Proszę cię, pozwól mi... – zaczęła Marzena.

– Nie! – rzucił ostro. Za ostro. Zreflektował się natychmiast i uśmiechnął przeproszająco. – Spokojnie, zapłacę gotówką. Po prostu zwyczajnie nie wiem, co się stało.

– Może to prace serwisowe? – podpowiedziała Marzena. – Mój bank ostatnio w połowie dnia ogłosił, że coś zmieniają, i nagle wszystkim zablokowali dostęp do pieniędzy na dobrych parę godzin. Była zresztą z tego powodu wielka awantura. W „Faktach” nawet mówili.

Olgierd mruknął ciche „aha”, jednocześnie przeglądając aplikacje w poszukiwaniu tej bankowej i robiąc w głowie rachunek sumienia. Wszystkiego, co miał na koncie, przehulać nie mógł, opłaty stałe i abonamenty rozliczał na początku miesiąca. Może jakieś zajęcie komornicze? Nie, raczej nie. Więc co, do jasnej cholery?!

Znalazł aplikację, wszedł w nią i kliknął „zaloguj”. Wpisał cztery cyfry aplikacyjnego PIN-u i nerwowo obserwował kółko ładowania. W końcu pojawił się stan konta i Olgierd odetchnął z wyraźną ulgą. Niczego nie brakowało.

– Możemy spróbować jeszcze raz? – zapytał wciąż stojącą nad nim Saszę. – Zbliżeniowo, a jeśli się nie uda, zapłacę gotówką.

– Jasne. – Dziewczyna uśmiechnęła się i wyjęła kartę z terminalu. Podała ją Olgierdowi, ponownie wpisała kwotę i podsunęła mężczyźnie urządzenie. Tym razem niemal natychmiast pojawiły się słowa „transakcja zaakceptowana”. Pychel odetchnął z ulgą.

– Potwierdzenie drukować? – zapytała kelnerka.

– Nie trzeba. I paragonu też nie, dziękuję bardzo. – Olgierd wyjął z portfela banknot dwudziestozłotowy, najdrobniejszy, jaki miał, i podał dziewczynie. – To dla pani. A recenzję i tak napiszę.

– Och, dziękuję panu bardzo.

W tej samej chwili zawibrował telefon, a na wyświetlaczu pojawił się nieznany numer. Pychel spojrzał i przesunął aparat po stole, w stronę Marzeny.

– Pewnie do ciebie – powiedział.

– A jeśli nie?

Wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

– Któryś z moich kolegów pomyśli, że mam dziewczynę – rzucił kolejny raz bez zastanowienia, ale tym razem nie skłął się za to w myślach. To było nawet zabawne, on był zabawny, a ona się zaśmiała. Faktycznie mogło coś z tego być. Odsunął krzesło i wstał. – Dam ci chwilę. Przypilnujesz mi kawy?

– Jasne – odparła i odebrała. – Marek? Tak, to ja. Słuchaj, dziękuję ci jeszcze raz, że dzwonisz...

\*

– Saszka, podejdziesz do państwa na ogródek? – zapytała Justyna. – Trochę się już niecierpliwia.

– Jasne, już idę.

Sasza obeszła kontuar i odłożyła terminal na blat w taki sposób, by Marcin mógł go łatwo ponownie podmienić. Zasłoniła go, sięgając po wpięty w ładowarkę telefon. Zerknęła na wyświetlacz, odczytała wiadomości. Ta najnowsza, najważniejsza, zawierała jedno słowo: „Już”.

Głośno odetchnęła z ulgą.

– Coś się stało? – zapytała Justyna.

Sasza pokręciła głową.

– Nie, gorąco mi, muszę złapać powietrza.

– To na ogródku jest go sporo – odparła koleżanka, a Marcin zarechotał, jakby usłyszał najlepszy żart na świecie. On również był dobry, może nawet lepszy niż Marzena? Na pewno mniej grał samą fizycznością.

Sasza naprawdę doceniała, że to właśnie oni jej dziś pomagają.

„Już” znaczyło, że właściwie wszystko się wykonało. Zły człowiek został ukarany.

\*

Dopiero w łazience, stając już nad umywalką i nabierając na dłoń pachnącą bananami piankę, Olgierd zdał sobie sprawę, co najlepszego zrobił. Czy naprawdę właśnie zostawił obcą kobietę ze swoim telefonem, wartym z dobre trzy tysiące, dokumentami firmy w teczce i wyszedł do kibla? Naprawdę był aż tak głupi?

Szarpnął za uchwyt kranu, właściwie tylko splukując piankę, złapał za zielony papierowy ręcznik ze stosiku leżącego obok i wytarłszy ręce, niemal wypadł z łazienki.

Siedziała na swoim miejscu, wpatrzona w okno, a telefon leżał po jego stronie, tuż koło talerzyka z bezą. Po raz drugi w ciągu niecałego kwadransa Olgierd poczuł ulgę, tym razem zmieszaną z solidną porcją wyrzutów sumienia.

– I jak? – zapytał, wracając do stolika.

– Już kogoś znaleźli – odparła ze smutnym uśmiechem. – Podobno po rodzinie.

– Typowe – westchnął. – Jak to wszystko ma dobrze działać, skoro wszędzie nepotyzm i znajomości?

Z tego, że znowu palnął, zdał sobie sprawę na widok jej miny. No tak, skojarzył, przecież ona też próbowała tym właśnie kanałem, czyż nie? Czy można wściekać się, że ktoś znalazł jeszcze krótszą drogę, skoro samemu idzie się na skróty?

Kilka kęsów bezy zjadł w milczeniu, zapił kawą. W końcu to Marzena, najwyraźniej zmęczona przeciągającą się niezręczną ciszą, wspomniała o jakiejś książce. Od niej gładko przeszli do kina, ulubionych seriali na Netfliksie, aż wreszcie swobodnie



doszli do etapu kolacji i postanowili ją zjeść razem w jednej z indyjskich knajpek na Nowym Świecie.

– Oczywiście pod warunkiem, że tym razem pozwolisz mi zapłacić rachunek – zastrzegła, a on po krótkim przekomaniu się niechętnie na to przystał. Nie chciał wyjść na jednego z tych konserwatywnych macho, co to uważają kobiety za niezdolne do poradzenia sobie w życiu. A już zwłaszcza nie w dniu, w którym Marzenie dwa razy przyszło skorzystać z męskiej pomocy.

Wziął od niej numer, a ona zapewniła go, że do osiemnastej jej telefon będzie już naładowany. Rozstali się pół godziny później, gdy Olgierd zdał sobie sprawę, że musi się zbierać.

To, że został okradziony, Pychel uświadomił sobie dopiero cztery godziny później.

## JEŚLI MYŚLISZ, ŻE UŚMIECHNĘŁO SIĘ DO CIEBIE SZCZĘŚCIE, TO ZNACZY, ŻE WZIĘLI CIĘ NA CEL.

W zakładzie opiekuńczym umiera jeden z przywódców legendarnej grupy oszustów. Synowi, z którym nigdy nie miał kontaktu, zostawia w spadku zeszyt. Są w nim nie tylko spowiedź, ale również pieniądze i obietnica fortuny. Tyle że aby ją zdobyć, musi wejść w konszachty z kręgiem – byłym współnikiem ojca i jego wciąż działającą grupą.

Krąg to artyści przekrętu. Wiedzą, jak za pomocą darmowej kawy wyłudzić z konta kilka tysięcy, jak zgarnąć czynsz i kaucję za wynajęcie nie swojego mieszkania, a także jak ugrać grube pieniądze na lęku przed uchodźcami.

Numer, który ma im wszystkim zapewnić pieniądze, to życiowa okazja. Każdy będzie musiał dać z siebie wszystko. Jak zwykle dobrzy ludzie staną się narzędziami, męczycielami ofiarami, a cała akcja odbędzie się w świetle reflektorów. Rzecz w tym, że robiąc ten numer, oszuści nie wiedzą wszystkiego...

*Szwindel* to inspirowana prawdziwymi wydarzeniami historia, która uświadamia, jak działają oszuści i jak łatwo paść ich ofiarą. I że znajomość trików wcale przed niczym nie chroni.

w sprzedaży także



cena 37,90 zł



www.marginesy.com.pl

PATRONAT MEDIALNY

 [lubimyczytac.pl](http://lubimyczytac.pl)

 CZYTAJMY  
KRYMINALY.PL

 [EKRANIE.PL](http://EKRANIE.PL)

**PORTAL  
KRYMINALNY**

**POCISK**  
WARSZAWA • OLSZTYN • GDAŃSK

[naszemiasto.pl](http://naszemiasto.pl)

  
[SMAKSIĄZKI.PL](http://SMAKSIĄZKI.PL)